

Pamiętam jak wrócił na stałe. A właściwie nie wrócił. Tak wypadaloby zacząć: pamiętam, jak mój ojciec nie wrócił do nas na stałe. Wcześniej mieliśmy nadzieję, że wróci. Ojciec, a nie on, ten facet. Rozmawiałem o tym chwilę z matką, parę tygodni po jego powrocie. Powiedziałem, że oglądałem kiedyś taki film: facet wraca z jakiejś misji w kosmosie i dziwnie się zachowuje, bo obca forma życia złożyła jajka w jego głowie. Czy to możliwe, że z ojcem jest podobnie? — pytałem. Wiadomo, że kosmici się do niego nie dobrali, ale może jakieś eksperymenty mu robili? Jakies nowe substancje? Armijne dopalacze?

Staliśmy na dworcu, strasznie mżyło. Taka mżawka jest gorsza od ulewy, bo ani parasol ani zadaszenie nie dadzą schronienia, zimna mgiełka i tak dotknie twojej twarzy, i tak siądzie na języku, gdy tylko otworzysz usta. Chyba dlatego stałem plecami do peronu, żeby mżyło mi plecy, nie głowę. Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, dlaczego nie czekaliśmy na niego w budynku, mogę się jedynie domyślać, że ojciec po cichu wymagał od nas, jakby to powiedzieć, prezentacji naszego wytęsknienia albo naszej niecierpliwości. I matka wiedziała o tym cichym wymaganiu, i zaciągnęła nas (widziałem po niej, że siebie też musi siłą zaciągać) na zewnątrz, na tę paskudną jesień. Moja orientacja (plecami do peronu, twarzą do drzwi) nie pozwoliła zobaczyć, jak wysiadł i jak do nas podszedł. Odwróciłem się dopiero, gdy usłyszałem śmiech matki i jakieś słowa z jej ust. Chyba pytanie „jak minęła ci podróż?”. Nie, niemożliwe, byłoby aż takie głupie? Mogło być, dochodzę do wniosku po głębszym zastanowieniu, mogło być jeszcze głębsze, ale serio, nie pamiętam tego zbyt dobrze. Odwróciłem się i zobaczyłem dwie rzeczy: 1. – jest potężny, jeszcze potężniejszy niż wcześniej, naprawdę groźnie potężny i 2. – od uśmiechu robią mu się dziwne oczy, zmrużone, jakby trochę skośne, z pajęczynami zmarszczek po bokach. Jak to się mówi? Pajaczki? Pajaczki w pajęczynach można nawet powiedzieć.

Ojciec powiedział, że umiera z głodu, ruszyliśmy więc do najbliższej kebabiarni. Szedłem trochę z tyłu, zazdrosny, że nikt nie zwraca na mnie uwagi. Ile ja mogłem mieć wtedy lat? Spróbuję policzyć. Idę do pokoju ojca, otwieram półki i szuflady. Czego właściwie mam szukać? Zastanawiam się. Czegoś z orzełkiem, czegoś w zielonej okładce, albo biało-czerwonej, czegoś z wojska po prostu. Co oni mogli mu tam dać na dowidzenia? Szukam zaświadczenia zwolnienia ze służby, kwitu ze złożenia broni (nie mam pojęcia, czy takie wydają, ale zakładam, że tak), książeczki wojskowej, jakiegoś dyplomu, którego egzemplarze ze zmienionymi nazwiskami seriami wręczają największym głąbom po zakończeniu służby. Nic z tego. Szukam dalej, cokolwiek, niech tylko ma datę: bilet lotniczy, rachunek z taksówki, pierwsza faktura wystawiona na albo przez Ormot, firmę, którą założył zaraz po powrocie, cokolwiek. Nic, same stare papierzyska z epoki przed Irakiem, epoki *przed jego narodzinami, czy raczej przed jego powrotem*. Ciągłe myślę nad jego nazwą. Może nawet nie jego jako osoby, ale jego jako zjawiska, które, mam wrażenie, będzie mnie wiecznie determinowało. Przykra sprawa, ale jest jak jest. Bo czy pisałbym to, co piszę, gdyby jego promieniowanie mnie nie dotykało? Promieniowanie, dodam, pozagrobowe, więc proszę – wyobraź sobie jak przemożne było ono za życia, z jaką łatwością przenikało kolejne warstwy betonu i przemierzało kolejne kilometry. A, dodam jeszcze, że odszedł parę ładnych lat temu, więc ile może trwać okres jego połowicznego rozkładu? Jak długo jego smród pośmiertny będzie wodził mnie za nos?

Zostawiam półki, nic nie mogę znaleźć i wiem, że nic nie znajdę. Siadam w fotelu, odpoczywam, powieki mi opadają ze zmęczenia. Zamroczony snem czuję palony papier, choć nic się nie pali. Rozbudzam siłą woli umysł, rozglądam się, nic nie płonie. A co mogłoby płonąć? Płonąć mogłyby te dokumenty, których szukałem, odznaczenia mogłyby płonąć, mundur — gdyby nie spłonęły już dawno, w epoce *jego oblędu*. Ja to wszystko dzielę na epoki, ale może lepiej byłoby dzielić na warianty? Rozróżniłbym: Ojca A – tego

przed służbą, Ojca B – tego w trakcie służby, Ojca C – wariant osobowy trwający ok. miesiąca po służbie. Ojciec C1 to ten kilka dni przed śmiercią, wtedy już matka nie mogła wytrzymać i ja nie mogłem wytrzymać, i zdaje się, odeszliśmy od niego, choć on, zdaje się (albo nie zdaje tylko jest pewne) widział w tym tchórzostwo matki i moje na pewno też. C2 to hipotetyczny wariant, który mógł się pojawić na nie więcej niż godzinę przed jego końcem. C3 jest wariantem religijnym i ma trwanie nieskończone. To najbardziej niepewny z wariantów.

A zatem czuję swąd palonego papieru. Otwieram szeroko oczy, mrugam kilka razy, żeby się rozbudzić, wącham, nic nie ma, nic nie czuć. Ten smród to pierwsza rzecz, którą poczułem, gdy weszliśmy do mieszkania. Niby było już po pogrzebie, ale kwaśny zapach palonej celulozy nadal był intensywny. Założę się, że ściany do tej pory nie wywietrzały.

Bardzo dziwne samobójstwo, powiedział matce patolog. Nie powiedziałby tego, gdyby się dobrze nie znali. Nie wiem jak do tego doszło, zaczęli się spotykać, jak sądzę, w ciężkim stadium obłędu ojca, wariant C albo C1. Od jakiegoś czasu mieszkają razem. Co niedzielę, czasem w sobotę, odwiedzam ich na działce za miastem, pomagam plewić, łatam dętki w rowerach, koszę trawę. Nie są starzy, po prostu uwielbiają siedzieć na tej dacy, przynajmniej ona uwielbia. Jeżdżą tam co weekend, nawet jak jest zimno i pada deszcz, odpuszczają dopiero jak dochodzi do minus pięciu.

Nie wiem, czy można nazwać ironią to, że kochanek, a obecnie oficjalny partner mojej matki kroił włoki jej męża, mojego ojca. Ciekawe, co wtedy czuł, ciekawe, czy myślał tak jak ja — „czy można to nazwać ironią? Stoję tu i tnę skalpelem faceta, który ruchał i zapłodnił moją kobietę, czy to mieści się w definicji ironii?”. Mógł tak myśleć. Musiał tak myśleć. Jutro będę się z nim widział, zapytam, cholera jasna, zdobędę się na odwagę i o wszystko ich wypytam. „Tomek powiedział, że to bardzo zagadkowe, bardzo dziwne samobójstwo” — rzuciła pewnego razu matka. Miałem już 18 lat, piliśmy wino, wcześniej był imieninowy grill z jej znajomymi, jeśli dobrze pamiętam. W pierwszej chwili uznałem, że to okrutne z jej strony powiedzieć mi coś takiego, później, że raczej zupełnie racjonalne. „Czemu zagadkowe? Bo się zadusił?”, zapytałem. „Bo podciął sobie żyły, a zmarł przez zaccadzenie”. Ja nawet nie wiedziałem, że on sobie coś podcinał, przecież już sam fakt zabicia się przez dym z palonego papieru wydaje się nieprawdopodobnie głupi, a jak jeszcze dojdzie to chlastanie... Czytało się zresztą o tym w prasie, tak, tak, pisali o „podwójnym samobójstwie jednego człowieka” albo o „nietykowej podróży na tamten świat”. Zrobili z niego debila, może i słusznie. „Nigdy do końca nie potrafiłem ocenić jego poziomu intelektualnego, ale nie był chyba zbyt bystry, co?”, zapytałem niepewnym tonem, „był, ale miał w sobie imperatyw walki, a ciągle walka, walka bez celu, walka bez wroga robi z człowieka idiotę”, powiedziała matka, „a z czym on niby walczył?”. Matka zamilkła wyraźnie już mną zniecierpliwiona. Robiło się niemiłosiernie chłodno, chciałem iść, ale było jasne, że ona nigdzie się nie wybiera. „Wiesz ile on miał wzrostu? 1,62, nie wiem, jakim cudem ty z jego genami dobiłeś do tych 175 centymetrów, ale to dobrze, będzie ci łatwiej”, powiedziała w końcu. A ja na to, że co z tego ile mierzył, a ona: „ech, pomyśl chwilę, przypomnij go sobie w całej okazałości, przypomnij sobie też babcię i dziadka, zwłaszcza dziadka, wiem, że dawno ich nie widziałeś, i uważam, że to bardzo źle, że rzadko ich odwiedzasz, choć rozumiem, że to daleko, ale przypomnij ich sobie, zwłaszcza dziadka, jego łapska, jego mowę, treść jego mowy, jego treść”. Wiedziałem, że już ma w czubie i normalnie ignorowałbym wszystko co mówi, ale musiałem zapytać: „A czymże jest jego treść?”. Znowu westchnęła, non stop wzdycha, jakby denerwowało ją każde moje słowo. „Jego treść to, no widzisz, no patrz, przypomnij sobie, jak on gada o sobie, że on, kurwa, w zapasach jakieś mistrzostwa, coś tam, że harcerz, ognisko umie jedną zapalką, nie zapalką, patykiem, nie, nie patykiem, powiedzmy: kawałkiem własnej skóry umie ognisko rozpałcić. Ileż razy chwalił się tym wszystkim? A twój ojciec... Ty nie wiesz, ty pewnie nie rozumiesz, co to znaczy, jak syn ma takiego ojca jakiego miał twój

ojciec. Ty nie znasz historii, jak twojego tatę ojciec z wujkiem i szwagrem wzięli na ryby. Jak popłynęli łódką na środek jeziora, że tam niby najlepiej biorą i jak Jarka, znaczy ojca twojego, ryba wciągnęła do wody”. „Co ona pieprzy”, myślałem, „co to za bełkot pijacki”. Matka zaczęła się śmiać „ryba wciągnęła go do wody, ryba do wody, ryba go” — powtarzała trzymając się za brzuch. „Chodzi o to, że on nie miał siły tego pstrąga, czy tam suma utrzymać i wyciągnąć na łódkę, wujek chciał mu pomóc, szwagier chciał mu pomóc, ale ojciec im nie pozwolił, powiedział pewnie coś w stylu: chłopak da radę albo może nawet, że musi dać radę. Jarek stracił równowagę i wyrznął w wodę, a tam, na środku tego jeziora mogło być nawet 10 metrów. Oczywiście, wszyscy się przestraszyli, chcieli za nim skakać, ale twój dziadek zabronił, powiedział pewnie coś w stylu: chłopak umie pływać, da radę, albo, że musi dać radę. W końcu wujek odepchnął tego starego pojebańca i po niego skoczył. „Ale ojciec umiał przecież świetnie pływać”, powiedziałem. „Umiał, jasne, po tych rybach się nauczył”.

Rozmowa po imieninach była naszą jedyną dłuższą rozmową o ojcu. Ani przed nią, ani po niej nie poświęciliśmy jego osobie więcej niż dziesięć minut. Mimo mnóstwa niedopowiedzeń, szarości, cieni i zagadek nie mieliśmy za bardzo potrzeby do niego wracać. Udawaliśmy, że jego problemem były wspomnienia albo wojenne odruchy, choć o tym, co on na tej misji robił nie mieliśmy pojęcia, on sam słowa na temat Iraku nie chciał słyszeć. Ale tak naprawdę oboje wiedzieliśmy i wiedzieliśmy też, że oboje to wiemy, że to żadna wojna, żaden karabin, żaden zabity Irakijczyk (jeśli taki był), że jakby stary pracował przy okienku na pocztce, też by się zabił, może nawet szybciej, wcześniej. I nie płonęłyby książeczki wojskowe, legitymacje, zaświadczenia od lekarzy wojskowych, dyplomy w zielonych oprawach z orzełkiem, tylko koperty, znaczki, bloczki, plakietka pocztarza, pieczętka, klej. Jedyną różnicą mógłby być brak otwartych żył, bo te żyły, to jednak może być wojna, a jeśli nie wojna, to samo wojsko. Bez wojska nie miałby odwagi, czy jakby on sam to ujął – jaj, żeby się okrwawić, a co dopiero wykrwawić. W jego stylu byłoby też powiedzenie: „bez wojska byłbym nikim” albo: „bez ojca byłbym nikim, bez twojej matki byłbym nikim”. Mówienie o byciu nikim lub obowiązku bycia kimś było jego mantrą. Nigdy tego nie precyzował, ale ja wiedziałem, co ma na myśli. Po kilku latach zrozumiałem też, że ta walka, o której mówiła mi matka, to nic innego jak dążenie do bycia tym kimś. Kimś, jak sądzę, określonym, pełnym, zdefiniowanym przez dom, pracę, dziecko i maszynkę do golenia. Takie, jak sądzę, było jego rozumienie ludzkiej wartości, wpojone do jego naiwnej mózgownicy przez ojca i inne instytucje, pewnie też przez żonę, moją matkę. Bo ona taka jest, mocna, silna, kojarzy mi się z niedużym, choć zdrowym, twardym i przede wszystkim prostym drzewem. Dla dziadka byłaby idealną córką, a raczej synem, ale wychodząc za mojego ojca stała się synową z koszmarów. Uwypuklała całą karłowatość jego potomnego i burzyła spokój przy każdej wigilii. Z wielkim bólem musiał przełykać kolejne zabarwione na czerwono uszko i przeżuwać kolejny kęs ryby. Ości pewnie dawały mu ukojenie, dzięki nim mógł skierować na coś myśli. Nie mam dowodów, że tak było, ale musiało tak być.

A jak wyglądały początki? Czy ojciec mojego ojca nie fantazjował o niej? Nie pragnął jej wziąć gwałtem (albo i nie gwałtem) kiedyś w kuchni, gdy byli sami w domu? Nawet nie musieli być sami, ojciec i tak by nie zareagował. Może przesadzam, może by o nią walczył, albo przynajmniej zacząłby krzyczeć, tak jak zdarzało mu się w nocy. Niewiele osób zdaje sobie sprawę, jak rzadko krzyk jest czystym krzykiem. Przynajmniej ja nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek darł się bezsłownie, a taki właśnie był krzyk starego. Nie miał żadnej semantyki, po prostu dźwięk z gardła po kilkunastu sekundach przechodzący w charkot i kończący się ciężkim dyszeniem. Tak było co noc, a to nie jedyny przypadek, kiedy dzika fizjologia brała go we władanie.

Przez pierwsze dwa miesiące po powrocie niemal całym jego życiem sterowały ostre napady biegunki. Bywały dni, gdy nie mógł zająć się niczym absorbującym, bo ciągle srał. Po dwóch, trzech dniach lak-

sacyjnej mordęgi i upokorzenia sytuacja się odwracała. Zatwardzenie trwało zwykle jedną dobę, rano kał odzyskiwał naturalny w przypadku ojca stan skupienia i znowu trzeba było dać mu odpór lub wypuścić z jelit. Przez dwa miesiące praktycznie nie wychodził z domu, nawet lekarz musiał go odwiedzać na miejscu, „to reakcja na stres, minie”, mówił i dawał jakieś ziołowe pigułki. Na jaki stres? Zastanawiałem się. Obsrywać sobie nogi na misji to zrozumiałe, ale w domu? O tym też pogadam jutro z matką, o sraniu i krzykach. A może dzisiaj, myślę, może dzisiaj już tam są? Sobota, czternasta godzina. Dzwonię sprawdzić: „jesteście na działce?”, „jesteśmy” — głos matki chrypiący już trochę i ziewający zmęczeniem — „jesteśmy, synuś, przyjeźdź do nas”.

Z ropą średnio, wskazówka na dole, w połowie drogi zapala się kontrolka rezerwy, ale udaje mi się dotrzeć do ich pomidorowo-porzeczkowej idylli. Matka przytula jak zawsze, Jarek daje mocną grabę jak zawsze, uśmiechają się jak zawsze, tylko ja się nie uśmiecham.

Matka pyta o pracę, czy wszystko dobrze, czy wystarcza mi pieniędzy. Matka strasznie wolno się starzeje, podejrzanie wolno. Włosy jej nie siwieją, zmarszczki tylko gdzieniegdzie. Zerkam na Krzyśka, młodszy od matki i żywszy (ode mnie zresztą też). Myślę, że ona go już w żaden sposób nie pociąga, że on musi mieć jakąś dupę na boku, matka oczywiście o niej wie, ale stara się niczego nie komplikować. Nie w tym wieku. On od niej nie odchodzi, bo bardzo ją kocha, no przecież widać, że ją kocha. Obejmuje ją, śmieje się, gdy ona mówi coś zabawnego (co nie koniecznie jest zabawne), słuchają razem Rammsteina.

Idziemy do domu. Wybudował go ojciec jeszcze przed Irakiem. Widzę, że wewnątrz przeszedł małą rewitalizację. Ktoś, najpewniej patolog, zerwał boazerie i pomalował ściany. Gdy Jarek podaje mi herbatę, ja nie mogę nazachwycać się nowymi ścianami, „jak ładnie, jak świeżo”, powtarzam. „Jak tam w pracy? Dalej siedzisz na słuchawce?”, pyta wreszcie matka. „Tak, jest całkiem nieźle, niedawno dostałem podwyżkę (kłamstwo)”, mówię i uśmiecham się, choć powinienem zapytać, co niby jest złego w mojej pracy, ale ona by mi to tak wytłumaczyła, że pozostałoby wsiąść do samochodu i odjechać, a ja tu przecież o ojca przyjechałem pytać. „Mamo”, zaczynam mówić, próbując nie zwracać uwagi na Krzyśka, który siedzi obok i się szczerzy, „mamo, pamiętasz pierwsze dni po powrocie ojca, prawda? A pamiętasz, jak on krzyczał? Albo te jego problemy z żołądkiem? Lekarz powiedział, że to wszystko ma związek z wojną, ale mnie interesuje...”. Matka wstała od stołu i zaczęła szukać czegoś w szafkach. Po jakimś czasie wyjęła herbatę. Później szukała łyżeczki. Po wsypaniu wysuszonych liści szukała czajnika. Gdy znalazła czajnik, zaczęła szukać kranu, gdy napełniła czajnik wodą i postawiła go na podstawce, przez krótki okres pracy czajnika rozglądała się za czymś, czego mogłaby jeszcze poszukać — znalazła krzesło i zaczęła szukać krzesła. Gdy w końcu usiadła, czajnik pstryknął, więc znowu wstała roztargniona, z twarzą nienaturalnie sztywną. „Ale o czym ty, synuś, mówisz? Lepiej powiedz, jak w tej pracy”, powiedziała, przelewając najwolniej jak potrafi wodę z czajnika do filiżanki, „dali ci podwyżkę? a awans? kiedy jakiś awans, kiedy praca porządna”. Mówiąc „porządna” odwróciła się i spojrzała na mnie rozpromieniona, świadoma swojej przewagi. „No opowiadaj, ważne jest to co teraz, ojca straciliśmy, a ty jeszcze żyjesz, więc powiedz, znajdziesz ty sobie w końcu sensowną robotę czy już do końca życia będziesz gadał przez telefon? Ty daj sobie spokój z tą telekomunikacją, ty weź zrób kurs. Na cokolwiek, widzisz, tobie lat nie ubywa, jest jak jest, mógłbyś znaleźć jakiś zawód, teraz tyle tych szkoleń, mogę ci przecież pożyczyć pieniędzy. Kobieta porządna by ci się przydała, no ale jaka kobieta by chciała... wiesz co mam na myśli”. Krzysiek się uśmiecha, ja staram się nie uśmiechać, chociaż nie mogę się nie uśmiechać do matki, biorę łyk herbaty, śmierdzi jak spalony plastik. Spalony telefon, spalone biuro, spalone ciała telemarketerów. Zapominam o ojcu.

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

gkiergk, dodano 16.11.2015 21:10

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.